№ 10 (Rok Szósty.) MAGAZYN POWSZECHNY. (Pierwsze Półrocze 1839).

ZAMEK TYROLSKI.

Książęcy zamek Tyrol, wznosi się w północnéj stronie miasta Meran na rozszczepanéj skale o 2102,23' nad poziom; samo miasto Meran, leży o 1,187' nad powierzchnią morza. Już z wyższych piąter niektórych domów w Meran, rozwija się widok zachwycający na żyzną Etschthal (dolinę Adygską), otoczoną jakby wieńcem pamiętnych zamków i miasteczek, z jéj usiewami kukurudzy, owocowemi ogrody i cienistemi wioskami. Oko ściga bieg Adygi, która złączywszy się pod Meran z Passerą, zwraca się potém wdzięcznie ku południowi przez rajską prawdziwie okolicę, aż póki nie skryje się za góry, śpiesząc pod ich zasłonę ku Botzen. Na prawo, otwiera się przed okiem widza, wielka alpejska dolina Wintschgan (Vallis Venusta), w lewo zaś Passeyerthal. Z pierwszéj wywija się Adyga z razu burzliwa, daléj ulagodzona wdziękami wybrzeżów, aż nareszcie zmienia wielkim zakrętem swój kierunek początkowie północny. W wązkiéj, dziko romantycznéj dolinie, szumi Passer, strumyk podczas suchego lata, lecz bystry potok wzruszający skał podstawy wtenczas, kiedy topnieją śniegi, a ogromne jego massy spadają weń, odrywając się z hałasem. Podróżny w jednodniowéj pielgrzymce po okolicy miasta Meran, ujrzy wszystkie odcienia krajobrazowych piękności, zacząwszy od przerażająco-wspaniałych niebotycznych gór szczytów, aż do sielskiego wdzięku cichéj doliny: na domiar uroku stąpa po ziemi klassycznéj. Tędy, od strony południowéj, ciągnął niegdyś Druzus, krótko przed narodzeniem Chrystusa, na spotkanie hord buntowniczych, i zbił je przy Eisack, podczas kiedy Tyberyusz przeszedłszy Helwecyą, ukazał się w środku kraju i połączył z Druzusem.

Pod górą Töll (Teloneum) i przyległych okolicach, odkopano sztuki marmuru, i drogowskazy, na których znalezione napisy, świadczą o wspomnionych wyżéj zdarzeniach. Tam, gdzie teraz rośnie kukurudza, wznosiła się dawniéj rzymska osada, Maja, a obronny zamek Terioli (Tirol), nadał z początku jednéj części, a późniéj całemu krajowi nazwisko swoje.

Karol Wielki wyzuwszy z posiadłości bawarskiego księcia Tassilo, rozdzielił jego ziemię, do któréj wówczas i dzisiejszy niemiecki Tyrol należał, pomiędzy wielu hrabiów, z których w roku 1182 dom Meran do godności książęcéj wyniesiony został. W sto lat późniéj hrabia Mainhard panował nad Tyrolem i Karyntyą: od wnuczki jego Małgorzaty zwanéj Maultasch, Tyrol przeszedł w posiadłość domu Habsburskiego; już nieco pierwéj książęta austryaccy stali się byli panami Karyntyi i Karnjoli. Z tych objaśnień pokazuje się oczewiście, iż Meran wraz z zamkiem Tyrolskim, i przyległą okolicą, słusznie uważać należy za macierzyste gniazdo hrabstwa Tyrolu, na stopień księztwa późniéj wyniesionego. Henryk z Karyntyi, ojciec Małgorzaty mieszkał też w Zenoburgu leżącym w pobliżu zamku tyrolskiego: jego córka lubiła przebywać w swoim zamku Maultasch, niedaleko Tertan w dolinie Adygskiéj (Etschthal) wyżéj Botzen. Jeżeli zatém Tyrolczyk zowie „Landl" ten kraj, którego część na rycinie naszéj umieszczamy, nie myli się bynajmniéj nawet we względzie historycznym. Meran wprawdzie stracił wiele z pierwiastkowego

znaczenia swojego, dotąd jednakże Tyrolczyk spoziera z dumą na dawnych hrabiów swoich stolicę, i zamki utrzymane po większéj części w stanie zamieszkalnym, gdzie niegdyś ich przodkowie i rządcy przebywali. Na dołączonéj przy niniejszym numerze rycinie, widzimy część zamku Tyrolskiego dawną spustoszałą, i późniejszą zamieszkałą dotychczas. Wąwóz dzieli go od wesoléj wioski Tyrol: idąc wzdłuż jego brzegów, dochodzi się do obszernéj jaskini przechożéj wykutéj w skale i zwanéj Knappenloch; część jéj zewnętrzna wychodzi na starożytne zamku rozwaliny. Jakiś rodzaj religijnego uszanowania przejmuje podróżnego na widok murów, o które za czasów Henryka i Małgorzaty, obijał się dźwięk trąb i rogów, zapraszających na uczty lub tańce; gdzie błyszczały miecze i ostrogi świetnych hufców rycerzy, gdzie się uwijali paziowie i służba dworska. Dzisiaj głębokie śmierci milczenie, i pełne tajemniczego znaczenia płaskorzeźby nadedrzwiami, budzą wyobraźnią, przedstawiając jéj smutne porównanie przeszłości z teraźniejszością.

Lecz posępne to usposobienie zamienia się nagle w wesołość i życie, kiedy przystąpiwszy do okna w nowszéj części gmachu, postrzegamy roztoczoną u nóg naszych piękną dolinę okrytą rozkosznemi trawnikami, przeciążoną prawie wszystkiemi dobrodziejstwy natury. Niebotyczne gór szczyty i skał rozłamy, ukazujące się wyżéj nieco, tracą tu swój charakter ponury przez moc odcienia śmiejącéj się doliny, i zostawują w umyśle jedynie słodkie jakieś wrażenie opieki i silnéj zasłony, dodającéj jeszcze wdzięku, miękkim powabom okolicy. Nikt zaręczam nie mógł widzieć miejsc tych bez tajemnéj chęci postawienia sobie natychmiast chatki w dolinie, lub przynajmniéj zwiedzenia jéj kiedy powtórnie. Czterotygodniowy pobyt w Meran (mówiąc nawiasem niekosztowny wcale), i kilka wycieczek do przyległych okolic, byłyby w stanie uleczyć hipokondryka, zostającego w najwyższym stopniu znudzenia. Zwaliska, które postrzegamy na rycinie naszéj, zowią się Brunoburg. Co do reszty zamków, folwarków, wsi, porozrzucanych na wzgórzach i poglądających z ich wierzchołka poważnie lub wesoło, nie można było ich umieścić na rycinie bez uszczerbku głównego jéj przedmiotu.

Droga z Meran do zamku Tyrolskiego prowadzi przez bogaty w winnice Küchelberg: kto chce iść wygodniéj i nie lęka się nałożyć drogi, zachodzi do Zenoburga, pod którym burzliwy Passer Adygę dościga. Miasto zawieszone jest niejako na skale, i z niego widać dolinę Passeyerthal aż do rozwalin Jauffenburga: powracając można odwiedzić wieś St. Peter.

Owoce i wina udają się koło Meran w wybornych gatunkach: któż nie zna doskonałych jabłek rozmarynowych i wielkich tyrolskich bursztówek, zwanych tam czeskiemi? Jabłka te obwijane każde z osobna w papier i ułożone starannie w skrzyniach, przesyłane bywają aż do Polski i Rossyi. Za kilka grajcarów można dostać w Meran brzoskwiń tak dużych, tak woniejących, i dodać muszę w takiéj ilości, iż w stosunku jak je kupują na inszych targach owocowych, dwie trzecie części korzyści tu się okazują. Na zwyczajne małe targi przekupnie przenoszą na głowach owoce przez Jauffen w koszach zwanych Kraxen. Wino z okolic Meran (Hochbütter) jest drogie i nieustępuje gatunkowi zwanemu Terlaner.

Świeże brzoskwinie, szklanka miejscowego wina i rzut oka na rozkoszne równiny umajone kukurudzą i ogrodami, tłómaczą najjaśniéj czemu Tyrolczyk, nieświadomy nawet wspomnień historycznych, kolebkę ojczyzny swojéj zowie z dumą „das Landl“ kraj. „Im Landl isch's fein“ powiada „dobrze jest w kraju.“ Sam Cesarz Maxymiljan po-

równywał Tyrol do fałdzistéj sukmany chłopskiéj, w któréj się ciepło i wygodnie siedzi.

Jakeśmy już mówili, dziko romantyczna Passeyerthal podbiega pod same miasto Meran. Mieszkańcy téj doliny są z charakteru poważni, milczący, gościnni jednak, niemniéj szczerzy jak pracowici. Już w r. 1363 Małgorzata Maultasch nadała poczciwym Passerczykom chlubne przywileje tyczące się ich swobód osobistych, używalności pastwisk, pierwszeństwa i tytułu gwardyi w czasie wojny. Co w 1809 roku uczynili Passerczycy pod dowództwem Andrzeja Hofer, dla utrzymania cechy nieraz już wypróbowanego honoru, wiadomo jest światu. Hofer miał w nich nieodstępną straż przyboczną. Żaden cudzoziemiec zwiedzający Meran i zamek Tyrolski, nie opuści miejsc tych bez odbycia pielgrzymki w dolinę Passeru aż do Sandwirthshause, gdzie się urodził Hofer. Ja miałem szczęście podczas pobytu mego w Tyrolu rozmawiać z jego wdową, dzisiaj już zmarłą. Na powitanie moje, przy którém nazwałem ją Panią matką, odpowiedziała: „Tak, ja jestem matką, i łaskawy cesarz miał o mnie staranie: lecz ojciec!..." tu strumień łez przerwał jéj mowę. Teraźniejszy rządca zamku Tyrolskiego, jest krewnym ś. p. Hofera. (Pomnik wzniesiony Andrzejowi Hofer w Innsprucku, przedstawiliśmy w Nrze 1 *Magazynu Powszechnego* r. 1838).

(Panorama des Universums 1838*)*.

VAN DYCK.

Sławny malarz Antoni Van Dyck, urodził się w Antwerpii roku 1598. Epoka ta była najświetniejszą dla holenderskiéj szkoły malarstwa. Wtedy szczęśliwy Rubens opływał w sławę i dostatki, a monarchowie ubiegali się w nagradzaniu jego talentu. Van Dyck z młodzieńczą nadzieją rozpoczął naukę malarstwa. Pierwszym jego przewodnikiem był Henryk Van Palen, który długo bawiąc we Włoszech, ukształcił smak swój na doskonałych wzorach. Początkowe próby pędzla Van Dycka, zachwyciły Rubensa, przyjął go do grona swych uczniów i powierzył wykonanie kilku ważnych pomysłów. *Bitwa Amazonek* i karton przedstawiający historyą *Decyusza* ustaliły szacunek mistrza dla niego, zamierzył więc wysłać go do Włoch. Genialny młodzieniec opierał się długo życzeniom mistrza; jemu tak miłém było powietrze rodzinnéj ziemi, tak milemi spokojne Flamandczyków zwyczaje. Zwiększyła jeszcze ten opór namiętna miłość dla pięknéj wieśniaczki, w okolicy, z któréj malował kilka obrazów. Opór Van Dycka zasmucił Rubensa, bo on pragnął widzieć na szczycie sławy ucznia, którego zdolnościom z całą szczerotą szlachetnéj duszy podziwiał. Dla tego użył wszelkich sposobów, wezwał pomocy przyjaciół, aby wraz z niemi uprzytomnieniem estetycznych bogactw Italii, wzbudzić w młodzieńcu zapał i ciekawość. Usiłowania jego pomyślny uwieńczył skutek, na obraz wymownie skreślony przez kawalera Nani, rumieniec żywy okrył lica Van Dycka, westchnął jakby na swéj rodziny wspomnienie, spojrzał smętnie na ziemię, gdzie tyle pamiątek i nadziei zostawiał, rzucił się w objęcia Rubensa, i w towarzystwie kawalera Nani pojechał szukać w pięknych Włoszech żywiołu dla swego geniuszu. Zwiedził najpierwéj Wenecyą, poznał utwory Tycyana i Pawła Veronese. W Genui malował portrety, a zebrawszy tam znaczną summę, przybył do Rzymu, gdzie w kardynale Guido Bentivoglio znalazł przyjaciela i opiekuna. Portret tego dobroczyńcy i Roberta Sherley Anglika z jego żoną, należą do najdoskonalszych dzieł Van Dycka w Rzymie. Te pierwsze dowody jego talentu, na obcéj ziemi, przygotowały mu razem sławę i zazdrość artystów; unikając téj ostatniéj, wrócił do Genui, gdzie malował wiele portretów i historycznych obrazów, przejmując się coraz bar-

dziéj stylem Tycyana. Zwiedził Florencyą, Turyn, Sycylią, pracując ciągle. W Genui dokończył obrazu do kościoła w Palermo. Lecz sercu Flamandczyka nie dosyć było na sławie, on tęschnił do rodzinnéj ziemi, dla tego zwiedziwszy całe Włochy, poznawszy arcy-dzieła mistrzów, wrócił do Antwerpii. Tu wykonał wiele obrazów kościelnych, z których najsławniejszy jest S. Augustyn w Antwerpii, i ukrzyżowanie w Contray.

Rubens z rozrzewnieniem powitał dawnego ucznia; napróżno przypisują mu zadrość i nienawiść względem Van Dycka; w jego tkliwém spojrzeniu, w jego uściskach przyjacielskich, malowała się najszczersza przychylność. Bo i jakże inaczéj malarz genialny, wielbiący sztuki piękne z zapałem, mógłby uważać młodzieńca, pełnego zdolności i nauki? Nie poniżajmy malarza pięknéj Maryi de Medicis niegodném przypuszczeniem; czucie estetyczne skoro się rozwinie z całą mocą, jest wspaniałe, tkliwe, nie dozwala przystępu osobistości. Lecz najlepszym dowodem naszego zdania, jest zamiar Rubensa zaślubienia swéj córki z Van Dyckiem. Nie przyjął jednak téj ofiary szlachetny artysta, bo w sercu jego jeszcze tlała miłość, którą mimowolnie powziął niegdyś dla matki ofiarowanéj sobie dziewicy (powtórnéj żony Rubensa).

Na wezwanie księcia Oranii Fryderyka nassauskiego, udał się do Hagi. Tam portrety księcia i jego żony wsławiły imię Van Dycka po całych Niemczech. Wszyscy panujący i magnaci chcieli mieć portrety przez niego wykonane. Szczęśliwy Van Dyck opływał w sławę i dostatki; swobodny, pełen nadziei, zwiedził Londyn, Paryż i znów wrócił do Antwerpii, gdzie czas pobytu poświęcił ukończeniu obrazu: *Narodzenie Chrystusa* i *Chrystus na krzyżu*. Van Dyck przebiegł tylko Londyn. Współziomkowie wielkiego Rajnoldsa z oziębłością jeszcze podówczas, na arcy-dzieła sztuki spoglądali. Jednak kiedy imię artysty cała Europa powtórzyła, Karol Iszy żałował, że go nie uczcił wspanialszém przyjęciem. Zaprosił go powtórnie do kraju, ale dumny Van Dyck byłby odrzucił zapóźne wezwanie, gdyby nie usilne prośby przyjaciela Digby. Za przybyciem do Anglii hojnie od króla obdarzony, powziął wdzięczność dla kraju, gdzie jak we własnym znalazł gościnność i opiekę. Przedsięwziął zbogacić Anglią arcy-dziełmi swego pędzla, w rodzaju wielkich historycznych obrazów jako też i portretów. Ogromny jego majątek znikał szybko; wśród nierządu i zbytków, oraz zajęcia się alchemią, któréj tajemnicom wiele chwil drogich i pieniędzy poświęcał. Książe Buckingham ożenił go z Maryą Ruthven, córką szkockiego hrabi Goreé; z nią odwiedził raz jeszcze ojczyznę, ztamtąd udał się do Paryża, mając chęć malowania galeryi w Luwrze, ale Poussin ubiegł go w tym zamiarze. Zawiedziony, wrócił do Anglii, gdzie jeszcze kilka nowych pomysłów utworzył, pomiędzy któremi najsławniejszy jest plan wielkiego kartonu, który miał przedstawiać *Wspomnienia z historyi angielskiéj*. Ale śmierć przerwała prace wielkiego artysty w 42 roku jego życia. Pochowany jest w kościele S. Pawła. Cowley poeta napisał wiersz na jego grobowcu.

Jakkolwiek różnorodne są zdania znawców o każdym artyście, Van Dyck jako portrecista, wolnym jest od wszelkiéj krytyki; żaden dotąd nie wzniósł się do téj prawdy, do téj natury w kolorycie rysunku i kompozycyi. Najzapaleńsi wielbiciele Lawransa nie poważą się nigdy równać go z Van Dyckiem. Jestto zupełnie inny rodzaj; w portretach Lawransa widzimy cechę naszéj epoki: tę szybkość, ten pośpiech, ta żądza chwilowego zajęcia widzów. W Van Dycku pędzel walczył z naturą, wolno, starannie, równie w głównych, jak w mniejszych rysach. Lawrans rzucał (że tak powiem) doskonałą głowę na tło niewykończone, draperye ubioru spadają od niechcenia w harmonijnych

odcieniach. Van Dyck każden szczegół zrówną malował pilnością, efekt jego obrazów jest bezwzględny, nie zależy od porównania części słabszych z doskonalszemi. Nakoniec, koloryt Lawransa, lubo świetny i żywy, wpada niekiedy w manierność; koloryt Van Dycka jest wzniosły i czysty jak myśl geniuszu, naturalny i prosty jak serce Flamandczyka; wyraz jego portretów jest spokojny, nigdy on nie przedstawiał wzruszeń gwałtownych, lecz obierał chwile pełne siły moralnéj, w których się cała wzniosłość duszy człowieka maluje. Szczególniéj celował robieniem włosów w portretach, lubił ubiór czarny i tło ciemne. W historycznych obrazach Van Dyck nie wzniósł się nigdy do idealnéj piękności Rafaela, zawsze tam jeszcze ślady ciężkości i surowości właściwéj szkole holenderskiéj widzimy. Najsławniejszemi jego uczniami są: Dawid Beck, Bertrand Touchier, Johann von Neyn.

E.......a Z......a.

CUDO MECHANIKI.

Gazety warszawskie podały krótką wiadomość o osobliwszéj komodzie, która powszechną zwróciła na się uwagę w Petersburgu. Dla czytelników naszych umieszczamy obszerniejszy opis tego prawdziwego cudu mechaniki, przez Tadeusza Bulharyna skreślony. Wyobraźmy sobie zwyczajną komodę, trzy stopy i cztery cale wysokości, dwie stopy i trzy cale szerokości, dwie stopy, dziesięć cali długości. Niemasz zamku, miejsce klucza zastępuje laska, która cały mechanizm w ruch wprawia. Naprzód otwiera się wieko, potém drzwiczki, i ztąd wyjmują się meble zwykłéj wielkości, jakie codziennie mamy przed oczyma, mocne, kształtne, i napełnia się nimi ogromny salon: wszystkich bowiem mebli jest 113 sztuk. Proszę uważać, nie jesto to bynajmniéj omyłka druku. Powtarzamy wyraźniéj, *sto trzynaście sztuk mebli*, zwyczajnéj wielkości, zamkniętych w małéj komodzie! Nie jestże to cudo mechaniki? I czegoż wreszcie tu nie ma! Wielki stół prezydyonalny, ośm stóp długości i trzy stopy wysokości, z kandelabrem; wielkie krzesło dla prezydującego, sześć taboretów dla sędziów, biórko, dwa damskie toaletowe stoliki, toaleta męzka w kształcie biórka, pulpity dla muzyki, mnóstwo małych stolików i krzeseł, postumenty, kolumny, wazony, pulpity do pisania, ławki i ławeczki, kandelabry, lichtarze, szkatułki, słowem wszystko, czego tylko trzeba do wytwornego ubrania pokoju, a raczéj salonu, a nadto na dopełnienie ozdób, portret N. Pana, śród dwóch wysokich kolumn, między któremi zawiesza się zasłona, a korona nad nią. Patrzysz, jak wyjmują te meble z komody, jak zapełniają niemi salon, patrzysz, i oczom swym nie wierzysz! Ma się rozumieć, że wszystkie meble są składane, a w tém składaniu ukrywa się cały cudowny mechanizm. Kiedy komoda zamienia się w ogromny stół, z każdéj nogi stołu wyjmuje się jeszcze po jednym stoliku, a sześć wygodnych taboretów nie więcéj zabiera miejsca nad szkatułkę podróżną! Wyjmują, rozsuwają, składają i rozkładają meble z nadzwyczajną szybkością. Na co spójrzymy, wszystko wydaje się bardzo prostém i naturalném; a zastanowiwszy się nad tém bacznie, nie możemy wynalazcy tego mechanizmu zaprzeczyć geniuszu. Za prawdę, Miller, jest człowiekiem genialnym.

Jego ojciec, rodem z Pruss, osiadł w Wilnie, i w tém mieście urodził się wynalazca cudownéj komody, Marcin Miller, liczący teraz 34 lat wieku. Uczył się on w Wilnie stolarskiego rzemiosła, ale tego co dzisiaj umie i co czyni, zgoła nigdzie się nie uczył. Przyroda matka, obdarzyła go duchem wynalazków i geniuszem mechaniki, a krew niemiecka opatrzyła go w cierpliwość. Dość jest spojrzeć na Millera, a wnet was uderzy

germańska jego dobroduszność. Nie jest bynajmniéj chełpliwym, nie szuka chluby, lecz z szczerością wieków patryarchalnych powiada, że sam nie wié jakim sposobem wykonał owo cudo. „Nie lubię rozrywek, mówił Miller, nie pjię gorących trunków, w karty nie gram, cała moja rozkosz rysunek i praca. Gdy jestem samotny, cóś mię dręczy, niepokoi, rozmaite machiny kręcą się ustawicznie w mojéj głowie. Siadam u stolika i kreślę. Mnóstwo mam projektów, ale brak mi środków do wykonania. Na to trzeba pieniędzy, a ja ich nie mam." Zaledwie wierzyć można, że to cudo mechaniki utworzył Miller na wsi pod Dynaburgiem, i że dla braku dobrych rzemieślników, sam zrobił nietylko wszystkie rzeczy drewniane, ale nawet sprężyny metalliczne, których jest blisko 400! Niemało innych mechanicznych przedmiotów wykonał, oprócz téj komody, a nad nią pracował okrągło dwa lata.

Miller, nieucząc się nigdy architektury, wybornym jest budowniczym, i w okolicach Dynaburga, w dobrach zamożnego obywatela, wystawił piękny pałac, w guście włoskim. Może on zrobić podróżną szkatułkę wielkości zwyczajnéj, która pomieści w sobie meble dla dwóch osób. Łóżko podróżne nie więcéj zabiera miejsca jak para butów. Teraz znowu dręczy Millera jego geniusz. Zawrócił mu głowę pomysł zegaru, który gdy bić zacznie, dwanaście figur wielkości człowieka wyjdzie z niego, i przeszedłszy się po pokoju, powróci na swe miejsce. Jest to cóś fantastycznego, co przypomina wieki średnie i legendy o budowie katedry kolońskiéj, zegaru moguńckiego i t. d. Ale najbardziéj zajmującym jest sam Miller, z swoją prostotą i genialnością! W oku jego błyska cóś nadzwyczajnego, jak gdybyś czuł płomię ukryte za zwierciadłem!..

JARMARK W BALUKHISSAR.

Pośród wspaniałéj płaszczyzny o 85 mil w północno-zachodniéj stronie Smirny, leży miasto sławne w powieściach wschodnich nieszczęśliwą miłością księcia Kosrew i nadobnéj czarno-okiéj Szyrin; jest to Balukhissar z rozległemi bazary, bogatemi meczety, domami z drzewa i rzeką, któréj spokojne wody wypłynąwszy z jeziora Bighu, skrapiają i użyzniają piękne łąki i giną u stóp Junus-Dagku, czyli góry Pudaxus. Miasto samo zajmuje około trzech mil przestrzeni. O sześć mil na południe znajdują się kąpiele mineralne, pomocne na choroby skórne i reumatyczne.

W tém mieście odbywa się corocznie jarmark, najznakomitszy na Wschodzie. Zaczyna się 15 sierpnia pod zwierzchnością bazargujana, na posyłanie którego co rok miasto Brussa ma przywiléj; jest to sędzia, który ostatecznie rozstrzyga wszystkie spory wynikające przy układach. Długie karawany wielbłądów i mułów, których szyje zdobne w brzęczące dzwonki, przypominają hiszpańskich *arrieros*, zalegają wówczas drogi ocienione piękném drzewem, prowadzące ku miastu; przeszło dwadzieścia pięć tysięcy ludzi snuje się w obwodzie miasta i jego okolicach.

Widok téj ciżby zwabionéj duchem spekulacyi i przynętą zysku, jest najciekawszy jaki sobie tylko wyobrazić można. Nic bardziéj malowniczego nad tę rozmaitość ubiorów, fizyonomij zafrasowanych, ludzi uwijających się na ulicach, lub poważnie stojących w kramach. Ten to szczególny charakter odznacza zajmowane przez Turków bazary; patrząc na nich, możnaby mniemać, że muzułmanin tak jest przekonany o dobrym gatunku swoich towarów, że uważa za rzecz niepotrzebną najmniejszą usilność o przyciągnienie do siebie kupujących. Przeciwnie się dzieje w części zajętéj przez żydów: tam gwar ustawiczny panuje, żyd głosem i gestami stara się ściągnąć uwagę tych,

których na pierwsze spojrzenie, chwilowy rzut oka już uznał za zdolnych dać mu niejaki zarobek. Fizyonomia Ormian zmienna i ruchoma przedstawia w swych rysach całą przebiegłość, odznaczającą Greków: cierpliwi, oszczędni, niezmordowani, wszędzie ich znaleść można; są oni kupcami, bankierami, liwerantami, i zwykle przez wzajemne wspieranie się i liczne stosunki, sami jedni najlepsze umieją robić interessa.

Podczas jarmarku dwutygodniowego, dzielą się bazary na sekcye: każdą zajmują kupcy z różnych narodów; wszystkie wyroby rękodzielni europejskich, towary kolonialne, bogate tkaniny perskie, jedwabie bruskie, łatwy znajdują tu odbyt. Ruch pieniężny corocznie od 18 do 20 milionów tureckich piastrów dochodzi. Zamiany odbywają się w nocy, dni poświęcane są kuplom i wypłatom pieniężnym: lecz to co się kupuje, nigdy się zaraz nie płaci, wciągają tylko sprzedaż w księgi. A jednak pomimo takie zaufanie, rzadkie zdarzają się oszukaństwa pomiędzy kupcami. W ostatnich trzech dniach odbierają się pieniądze. Wtedy kupiec widzi przychodzące do siebie osoby, których fizyonomia całkiem się wygluzowała z jego pamięci wśród tego tłumu nieprzerwanie przed nim się migającego. Z resztą policya wykonywa się jak najsurowiéj; oprócz prawa rozciągnionego na wszystkich cudzoziemców, jeszcze rządca utrzymuje około miasta kordon straży. Przed kilką laty dwóch nieszczęśliwych żydów chciało uciekać dla uniknienia opłaty, lecz schwytani na gorącym uczynku, natychmiast odnieśli karę szubienicy.

Rozległy plac za miastem, służy na targ bydła. Liczba sprzedawanych tam koni nader jest znaczna. Bazary zwykle otwierają około trzeciéj godziny rano, to jest równo ze wschodem słońca. Mnogie różnobarwne namioty rozciągają się po nad rzeką; tu cudzoziemcy, którzy nie mogli już znaleść przytułku w khanach czyli gospodach, przychodzą użyć chwilowego spoczynku. Gdy uderzy godzina przeznaczona czynności, liczne gromady muzykantów, tancerzy na linie, kuglarzy, wędrownych komedyantów, zaczynają wykonywać swoje sztuki. Wówczas to zabawy bez przerwy następują po sobie; dawne spotykają się znajomości, zabierają nowe: nakoniec jarmark się zamyka, a w dzień odjazdu, kiedy już karawany występują do drogi, kiedy każdy zawiązał w żółty skórzanny worek cały swój zarobek, niejedno spojrzenie zwraca się z roztargnieniem, aby przypatrzyć się jeszcze przez kurz drogowy, ostatnim minaretom miasta, i liściom drzew poruszających się po nad brzegami rzeki.

O WYRABIANIU AŁUNU.

(z Hermbstaedta.)

(*Dalszy ciąg.*)

Osadzenie wyjaśnionego płynu. Pozostały po osadzeniu mętu przezroczysty płyn, będzie już tylko mięszaniną bardzo trudno krystallizującego się siarczanu glinkowego z siarczanem po większéj części nadkwaszonym żelaza. Chcąc zatém siarczan glinkowy przerobić na ałun, który należy do soli łatwo się krystallizujących, należy do płynu tego dodać potażu albo ammoniaku; w tym bowiem razie, nowo-uformowane połączenie dwóch soli, to jest siarczanu glinki z siarczanem potażu lub ammoniaku, w postaci ałunu osiądzie na dnie. Osadzenie zaś to odbywa się w osobnych skrzyniach, ustawionych tuż przy skrzyniach służących do klarowania płynu, i od 6 do 8 stóp długich, 4 szerokich, a 3 głębokich; albo też téj saméj obszerności co i naczynia do klarowania używane. Skrzynie te, należy tylko umieścić niżéj od skrzyń poprzedniczo opisanych, a to dla tego, iżby wyjaśniony w tych ostatnich płyn, można było z łatwością za pośredni-

ctwem ryn przelać w skrzynie służące do *precypitacyi*.

Po przeprowadzeniu zatém płynu do tych ostatnich naczyń, osadza się z niego ałun za pomocą ługu z popiołu, zgniłéj uryny, rozpuszczonego w wodzie solnika potassowego albo solucyi wodnéj siarczanu potażu. Z tych solnik potassowy, choć nie zupełnie czysty, pod imieniem *flussu* dostarczają obficie fabryki mydlane; siarczan zaś potażu otrzymuje się z hut szkła białego pod imieniem żużla szklannego (Glasgalle) albo z fabryk kwasu saletrowego, gdzie sól ta pozostaje w retortach po wypędzeniu z saletry kwasu saletrowego przez kwas siarczany, i zowie się zwykle *caput mortuum*. Rozprowadziwszy więc którąkolwiek z wymienionych istot, dostateczną massą wody zimnéj, solucya ta leje się do skrzyń, zawierających już w sobie oczyszczony płyn; poczém dwóch silnych ludzi, za pomocą ogromnych drewnianych drągów, powinno płyn ten wciąż przez całą mięszać godzinę. Tym sposobem płyn gęstnieje i osadza drobne kryształki, które w fabrykach zowią *ałunową mąką*. Nad osadem zaś pozostały żółto-zielony rozciek, zatrzyma przy sobie bardzo małą ilość ałunu, a mnóstwo wodo-solanu lub siarczanu żelaznego, podług tego, jak do osadzenia płynu użyjemy solnika potassowego lub innego któregokolwiek z ciał na początku wymienionych.

Obmywanie czyli płókanie mąki ałunowéj. Skoro po upłynieniu 21—30 godzin, przestanie nakoniec osiadać mąka ałunowa, zlewa się stojący nad nią płyn, a sam osad w celu oswobodzenia go od niektórych przynajmniéj obcych części, na drewnianym stole albo raczéj na płaszczyźnie złożonéj z tarcic szczelnie z sobą spojonych i pochylony do poziomu pod kątem 15°, przemywa się czystą wodą. Płaszczyzna ta ustawia się zwykle nad kanałem, do którego by ściekająca podczas obmywania mąki ałunowéj woda, spływać mogła. Obadwa jéj brzegi wzdłuż idące, opatrują się listwami z tarcic na 6—8 cali szerokiemi; w górze zaś znajduje się podobna poprzeczna listwa, która z drugą na powierzchni stołu w odległości około 3 stóp od téj ostatniéj poprzecznie osadzona, formuje otwartą skrzynię albo raczéj szufladę. Nakoniec nad tą częścią stołu, która stanowi szufladę, przechodzi rynna opatrzona kurkiem, za pośrednictwem któréj, można do szuflady téj wpuścić upodobaną ilość wody.

Przystępując zaś do samego płókania nieczystéj ałunowéj mąki, téj saméj właśnie, jaka się po sprecypitowaniu płynu wyżéj opisanym sposobem otrzymuje, sypie się pewna liczba koszów do wspomnionéj szuflady i za otworzeniem kurka od rynny, nalewa się wodą. Poczém jeden z ludzi chodzących około téj roboty, za pomocą drewnianego drąga przez czas niejaki bez przerwy całą tę mięszaninę porusza, i nie wprzód w rozpoczętéj pracy ustaje, aż się ałun dostatecznie obmyje. Wtedy po wypuszczeniu go z szuflady na pochyłą część stołu, czysty ałun pozostaje na jego powierzchni, a wszelkie nieczystości uniesione z wodą, spływają do kanału. Lecz wypróżniwszy tym sposobem po raz pierwszy szufladę, można do niéj następnie dodawać coraz świeżego ałunu i podobnymże sposobem obmywać go dopóki się cały stół oczyszczoną ałunową mąką niezapełni. Nakoniec po obmyciu jéj tym sposobem, zostawuje się jeszcze przez 10—12 godzin na płaszczyźnie stołu, ażeby z niéj woda zupełnie ściekła; a potém przenosi do umyślnych na to składów. Przez obmycie to, surowa ałunowa mąka, traci właściwy sobie szaro-zielony kolor, bieleje i zamiast smaku siarczanego, nabywa ałunowego.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Do niniejszego numeru dołącza się rycina wyobrażająca ZAMEK TYROLSKI.

w WARSZAWIE, NAKŁADEM I DRUKIEM JANA GLÜCKSBERGA, PRZY ULICY MIODOWEJ Nr. 482.



Würb del. Umbach sc.

Zamek Tyrolski.